

Akutagawa Ryūnosuke

*Mikan**

蜜柑

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2017.068>

Od tłumacza

Mikan (1919) to jedno z wcześniejszych opowiadań Akutagawy Ryūnosuke, które nie było do tej pory tłumaczone na język polski. Akcja tego króciutkiego utworu toczy się w pociągu zmierzającym z Yokosuki do Tokio. W przedziale poznajemy dwójkę bohaterów: podróżującego bez jasno wytyczonego celu, znużonego i zmęczonego życiem narratora opowieści oraz trzynasto-, może czternastoletnią dziewczynkę, opuszczającą rodzinną wieś, aby udać się na służbę. Narrator od samego początku opowieści jest wrogo nastawiony do swojej współpasażerki – wszystko mu w niej przeszkadza: jej przybrudzone ubranie, popękane mrozem dłonie, podrapane do czerwoności policzki. Dziewczynka irytuje go. Dopiero końcowa scena, którą symbolizują tytułowe mandarynki (*mikan*), diametralnie zmienia nastawienie narratora. Drobny, ale jakże ludzki gest dziewczynki wyrywa go z otępienia i pozwala, choć na chwilę, dostrzec ludzką egzystencję od jej najpiękniejszej strony. Ten kontrast, po mistrzowsku oddany przez Akutagawę, wpływa w decydującym stopniu na odbiór tej prostej, ale jakże przejmującej opowieści.

Joanna Wolska-Lenarczyk

* Owoc cytrusowy pochodzący z Chin, podobny kształtem i smakiem do mandarynki.

Zdarzyło się to pewnego pochmurnego dnia, zimą. Był zmierzch. Siedziałem w rogu wagonu drugiej klasy pociągu jadącego z Yokosuki¹ do Tokio. W roztargnieniu czekałem na gwizdek obwieszczający odjazd. Co dziwne, w wagonach pasażerskich, w których już od dawna paliło się światło, nie było nikogo poza mną. O dziwo, kiedy zerknąłem na zewnątrz, również na pogrążonym w mroku peronie nie było dzisiaj widać nawet jednej osoby odprowadzającej.

Od czasu do czasu do moich uszu dobiegało jedynie smętne szczekanie zamkniętego w klatce psiaka. Ta niezwykła sceneria zdawała się odpowiadać nastrojowi, w którym wtedy byłem.

W mojej głowie niewypowiedziane zmęczenie i znużenie kładły się cieniem, zupełnie jak chmury śniegowe na niebie. Tkwiłem z rękoma w kieszeniach płaszczka, nie potrafiąc się nawet zdobyć na wyjęcie z niego wieczornego wydania gazety i przejrzenie go.

Wkrótce usłyszałem odgłos gwizdka. Oparłem głowę o tylną ramę okna i z uczuciem pewnej ulgi bezwiednie oczekiwałem aż kolejne stacje przed moimi oczami zaczną powoli znikać w tyle. Tymczasem już chwilę wcześniej od strony bramki biletowej zaczął dochodzić do moich uszu hałaśliwy stukot drewniaków *geta*² zakładanych w pogodne dni. Usłyszałem poirytowany głos konduktora i w tej samej chwili drzwi wagonu, w którym siedziałem, otworzyły się ze zgrzytem. Do środka weszła w pośpiechu trzynasto-, może czternastoletnia dziewczynka. W tym samym momencie pociąg zatrzęsł się gwałtownie i powoli zaczął ruszać z miejsca. Peronowe słupy, kolejno przecinające linię mego wzroku, porzucone i zapomniane wózki z wodą, wreszcie tragarz w czerwonej czapce dziękujący komuś w pociągu za napiwek – to wszystko zniknęło żałośnie w tyle, w czarnym dymie kłębiącym się za oknem. W końcu odetchnąłem z ulgą. Przypalając papierosa, po raz pierwszy uniosłem ciężkie ze zmęczenia powieki i rzuciłem okiem na dziewczynkę, która usadowiła się przede mną.

Jej nienaoliwione włosy były związane z tyłu w kok w kształcie liścia miłorzębu³, a skóra na policzkach popękana, z wyraźnymi śladami drapania. Kiedy policzki oblewał rumieniec, stawały się tak czerwone, że widok ten napawał niesmakiem. Bez wątplenia było to wiejskie dziecko.

Na dodatek, na kolanach, na które niedbale zwiślał jej przybrudzony wełniany kołnierz w kolorze trawiastej zieleni, leżało duże zawiniątko zapakowane w chustę *furoshiki*⁴. W popękanych od mrozu dłoniach, które obejmowały pakunek, dziewczynka z nabożną powagą ścisnęła kurczowo czerwony bilet trzeciej klasy. Nie przypadł mi do gustu niewybredny wygląd tego dziecka. Poza tym nie było przyjemnie obcować z kimś, kto miał na sobie brudne ubranie.

¹ Yokosuka – miasto portowe w prefekturze Kanagawa na zachodnim wybrzeżu Zatoki Tokijskiej, położone około 24 km od Yokohamy, z którą graniczy.

² Woryginale *hiyori geta*.

³ Jeden z tradycyjnych rodzajów damskiej fryzury określany mianem *ichōgaeshi* (jap. *ichō* – miłorzęb), popularny od końca okresu Edo (1600–1868), a także w okresach Meiji (1868–1912) i Taishō (1912–1926).

⁴ *Furoshiki* – chusta tradycyjnie używana zamiast papieru do pakowania rzeczy lub jedzenia.

W końcu poczułem się poirytowany głupotą dziecka, które nawet nie potrafiło odróżnić biletu drugiej od biletu trzeciej klasy. Palilem papierosa, starając się zapomnieć o istnieniu dziewczynki.

Z tym postanowieniem wyjąłem z kieszeni płaszcza wieczorne wydanie gazety, rozłożyłem obojętnie na kolanach i zacząłem je przeglądać. Kiedy to zrobiłem, światło dzienne, które padało na szpalty, zamieniło się nagle na światło sztuczne, a znaki źle odbite w kilku kolumnach tekstu teraz stały mi wyraźnie przed oczyma. Nie muszę nadmieniać, że właśnie wtedy pociąg wjechał w pierwszy z wielu tuneli znajdujących się na trasie linii Yokosuka.

Pomimo że przeglądałem szpalty gazety skąpane w elektrycznym świetle, świat, który powinien zaferować pocieszenie dla mojej melancholii, miał dla mnie tylko banalne sprawy. Deliberowanie o pokoju, nowożeńcy, skandale łapówkarskie, nekrologi – w momencie, w którym wjechaliśmy do tunelu, doznałem złudnego wrażenia, że pociąg zaczął jazdę w przeciwnym kierunku. Co więcej, moje czytanie ograniczyło się do mechanicznego skakania wzrokiem po kolejnych ponurych artykułach. Pomimo to byłem nieustannie świadomy obecności dziecka, które siedziało przede mną z takim wyrazem twarzy, jakby jakaś ordynarna rzeczywistość stała się istotą ludzką.

Czy to wszystko – ten pociąg pędzący w tunelu, to wiejskie dziecko, a nawet to wieczorne wydanie gazety pełne banalnych artykułów, nie było symbolem czegoś ważniejszego? Czegoś takiego jak niezrozumiała, nędzna i nudna istota ludzkiej egzystencji?

Nagle wszystko straciło dla mnie sens. Odrzuciłem gazetę, którą wcześniej zacząłem czytać, i ponownie oparłem głowę o ramę okna. Zamknąłem oczy, jakbym był martwy, i zacząłem drzemać. Minęło kilka minut. Odniosłem wrażenie, że coś mnie nagle wystraszyło. Kiedy instynktownie rozejrzałem się po pociągu, ta sama wiejska dziewczynka przeniosła się na miejsce obok mnie i siłowała się z szybą, która jednak ze względu na swój ciężar nie dawała się tak łatwo otworzyć. Pokryte zadrapaniami policzki zrobiły się jeszcze bardziej czerwone, a do moich uszu dochodziło pociąganie nosem i urywany oddech dziecka. Oczywiście to wystarczyło, żeby nawet ktoś taki jak ja poczuł współczucie.

Teraz pociąg zaczął zbliżać się do wylotu tunelu. Doszło to do mnie w momencie, gdy dostrzegłem przez okno zbliżające się po obu stronach pociągu stoki gór, na których jedynym jasnym punktem w mroku były wyschnięte trawy. Mimo to dziewczynka nadal próbowała opuścić zamkniętą specjalnie szybę. Powód, dla którego to robiła, był dla mnie niezrozumiały. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to to, że miała po prostu kaprys.

Stąd kumulując na dnię swego serca chłodne emocje w stosunku do dziewczynki, obserwowalem nieczułym wzrokiem desperacką walkę z szybą, jaką toczyły jej popękane mrozem dłonie, modląc się, aby ta walka nigdy nie skończyła się sukcesem. Po chwili, w tym samym momencie, gdy pociąg z przeraźliwym hukiem wtaczał się do tunelu, szybą, którą próbowała otworzyć dziewczynka, w końcu opadła z łoskotem.

Wówczas przez kwadratowy otwór zaczęły nagle wpadać do wnętrza pociągu ciemne, dławiące kłęby dymu. Nie miałem nawet czasu na zasłonięcie twarzy chusteczką, żeby ochronić chore gardło. Dym zaatakował moją twarz, powodując atak kaszlu, który prawie uniemożliwił mi oddychanie. Mimo to dziewczynka, nie zważając na moją kłopotliwą sytuację, wystawiła głowę przez okno i z włosami targanymi przez wiejący w ciemnościach wiatr spoglądała w kierunku, w którym powoli posuwał się pociąg. Kiedy ujrzałem jej postać w blasku elektrycznego światła i w kłębach sadzy i dymu, na zewnątrz zrobiło się na chwilę jasno. Gdyby ożywcze zapachy ziemi, wyschniętych traw i wody nie napływały do

wnętrza pociągu, to nawet gdybym po ustaniu ataku kaszlu zbeształ tę nieznaną mi dziewczynkę i kazał jej zamknąć okno, nie byłoby żadnej różnicy – dziewczynka z pewnością stałaby nadal w tym samym miejscu.

W tym momencie pociąg zaczął wyjeżdżać z tunelu, mijając przejazd kolejowy na obrzeżach jakiegoś ubogiego miasteczka, które znajdowało się między górą porośniętą wyschniętymi trawami i gołym stokiem górskim. W pobliżu przejazdu znajdowała się gęsta zabudowa nędznych domków z dachami pokrytymi słomą i dachówką. Musiał tam gdzieś być również dróżnik, ponieważ jedna biaława chorągiewka huśtała się leniwie w mroku.

Pomyślałem, że wreszcie wyjechaliśmy z tunelu. Wtedy zobaczyłem, jak po drugiej stronie ogrodzenia tego samotnego przejazdu kolejowego stoją jeden obok drugiego trzej mali chłopcy z rumianymi policzkami. Cała trójka była tak niskiego wzrostu, jakby została zmiażdżona pod ciężarem ołowianego nieba. Na dodatek chłopcy byli ubrani w kimona w smętnym kolorze scenerii obrzeży tego miasteczka. Spoglądając do góry na przejeżdżający pociąg, chłopcy na raz podnieśli szybko ręce i swoimi słodkimi głosikami wznosili z całych sił zupełnie niezrozumiałe okrzyki. Wtedy miało miejsce do zdarzenie.

Ta sama dziewczynka, która była do połowy wychylona przez okno, nagle wyciągnęła przed siebie obie popękane mrozem dłonie i zaczęła machać nimi energicznie w prawo i w lewo. W tej samej chwili w kierunku dzieci, które przyszyły pomachać na pociąg, poleciało z nieba pięć albo sześć mandarynek skąpanych w ciepłych promieniach słońca. Widok tych owoców napawał radością. Bezwiednie wstrzymałem oddech. I nagle wszystko pojąłem. Ta dziewczynka, która prawdopodobnie miała od tej pory iść gdzieś na służbę, wyrzuciła przez okno tak skrzętnie chowane na piersi mandarynki, żeby wynagrodzić swoim młodszemu braciom to, że specjalnie przybiegli ją pożegnać na przejście kolejowe.

To przejście na obrzeżach miasteczka spowitego w barwach zmroku, trójka maluchów wznosząca okrzyki niczym małe kwilące ptaszki, aż wreszcie kolor połyskujących mandarynek, które poleciały kolejno w górę – to wszystko przeplątało się w mgnieniu oka za oknem pociągu. Mimo to, ta scena rozpałała moje serce tak jasnym blaskiem, że aż bolało. Uświadomiłem sobie, że przepełniały mnie jakieś niewytłumaczalne, ciepłe emocje.

W radosnym nastroju uniosłem głowę i spojrzałem uważnie na dziewczynkę, jakby była kimś zupełnie innym. Dziewczynka, nie wiadomo kiedy, wróciła na swoje miejsce i jak gdyby nigdy nic, wtulając pokryte zadrapaniami policzki w wełniany kołnierz w kolorze trawiastej zieleni, ścisnęła kurczowo bilet trzeciej klasy w dłoniach, które obejmowały duże zawiniątko w chuście *furoshiki*.

Wówczas po raz pierwszy w życiu udało mi się zapomnieć o niewypowiedzianym zmęczeniu i znużeniu, a także niezrozumiałej, nędznej i nudnej istocie ludzkiej egzystencji.

Tłum. z japońskiego Joanna Wolska-Lenarczyk